MURZYNEK

Rok XXVI Nr. 10

Październik 1938



Beniaminki misji modlą się za dobroczyńców.

MURZYNEK
katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wydaje w różnych językach
SODALICJA Św. PIOTRA KLAWERA
Krosno, woj. lwowskie.
Prenumerata roczna 1.20 zł.

Prenumeraty i ofiary
przesyłać można pod następującymi adresami:

Sodalicja Klaweriańska, Warszawa I, ul. Warecka 10, m. 4. — *Kraków*, ul. św. Marka 25. — *Poznań*, ul. św. Józefa 9. m. 5. — *Krosno* (woj. Lw.). — *Wilno*, ul. Wielka 58, obok kościoła św. Kazimierza. — *Częstochowa*, aleje Najśw. Marii Panny 79. — *Lwów*, p. K. Froniówna, ul. Edwarda Jelinka 11a. — *Kielce*, p. M. Kasperska, ul. Śniadeckich 1, m. 8. *Gniezno*, p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — *Bielsko*, ul. Piłsudskiego 7. — *Ostrów Pozn.*, p. Roman Spychałowicz, ul. Staro-Kaliska 9. — *Łowicz*, pan Marian Tarczyński, ul. Kościuszki 17.

Dom główny: *Rzym*, Sodalizio di S. Pietro Claver, *Roma (123)*, via dell'Olmata 16.

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188 — Kraków 410.756 — Poznań 200.015 — Wilno 701.217 Krosno 411.222.

Ofiary nadesłane

Teresa Grabska z Bieganowa zł. 8.95 z przedstawienia w domu.



Proszę o różaniec

S. *Otylia* od św. Krzyża, kraj Basutów.

Był miesiąc różańcowy. Każdego dnia zbieraliśmy się w kaplicy na różaniec. Była także nauka o różańcu. Jednego razu misjonarz powiedział, że każdy chrześcijanin powinien mieć różaniec. Naszym dzieciom bardzo się to podobało.

Po nabożeństwie z uśmiechniętymi twarzyczkami przychodzą do mnie.

— Siostro — mówią — nie mamy różańców, a przecież powinniśmy je mieć. Idź i kup nam je!

— Nie mam pieniędzy — odpowiadam; lecz to wcale im nie przeszkadza prosić dalej.

— Daj nam różańce! Przynajmniej dla mnie jeden, patrz, muszę na palcach liczyć! I mnie też! I mnie!

Prosiły coraz głośniej. Pocieszyłam je, jak umiałam. Lecz nie zadowoliły się tym na długo. Chcąc nie chcąc musiałam ich prośbę spełnić.

IX 38 11.1

— Jutro kilkoro z was otrzyma pracę, za którą może sobie wysłużyć różaniec. Kto przyniesie dwa wiaderka małych kamyczków, ten otrzyma różaniec.

Chciałam zobaczyć te kamyczki, aby wiedzieć, komu przyznać nagrodę. Tylko mała grupa była zamówiona do noszenia kamyczków; ale wnet dowiedziała się o tym cała szkoła. Wkrótce urósł przed szkołą wysoki pagórek z kamyczków, a ja nie mogłam nawet rozsądzić, które dzieci je przyniosły. Wszystkie chciały pomóc i wszystkie chciały otrzymać różańce. Skąd ich tyle wziąć? Wyporządziłam wszystkie stare różańce i poprzyczepiałam medaliki, gdzie nie było krzyżyków. Ale jak tu obdzielić 70 do 80 dzieci trzema czy czterema tuzinami różańców?

Rozdałam te, które miałam, i nie mogąc zadowolić wszystkich, zniknęłam za drzwiami. Niektóre dzieci nie chciały wierzyć, że nie otrzymają nic, i były gotowe jeszcze dalej kamyczki nosić, aby tylko ten upragniony różaniec otrzymać. Ale mój zapas się wyczerpał. Ufamy, że nasi kochani dobroczyńcy pomyślą o nowej przesyłce.

Co też misjonarz robi od ranka do wieczora?

Z życiorysu O. *Beduschi'ego**, ze Zgrom. Synów Najśw. Serca, dzielnego misjonarza afrykańskiego, zm. w r. 1924.

— Opowiada Murzynom o Panu Bogu! Chrzci małe dzieci!

— Buduje kaplice, poluje czasem na lamparty, na słonie! Czytałem...

* czyt. Beduskiego.

— Musi też uczyć się afrykańskich języków i dużo się modlić...

— Bardzo dobrze, prawie że zgadliście. Oto jeden dzień z życia misjonarza afrykańskiego. Przesunie się wam przed oczami świetlana postać O. Beduschi'ego, który dla wszystkich stał się wszystkim, aby wszystkich pociągnąć do Boga.

O wschodzie słońca

Budzenie ze snu bywało zwykle powierzane Braciszkowi. Lecz O. Beduschi wziął na siebie ten obowiązek. Wstaje w misji najpierwszy. Najranniejsze chwile poświęca całkowicie Panu Bogu. Po półgodzinnym rozmyślaniu odprawia z wielkim skupieniem mszę św., po czym pogrąża się w głębokiej modlitwie dziękczynnej i poleca Panu Bogu cały swój dzień.

Wśród katechumenów i robotników.

Potem idzie do kaplicy katechumenów. Zbierają się tu ci, którzy przygotowują się do chrztu św. Przychodzą tu również robotnicy dzienni, gdyż O. Beduschi nie przyjmuje nikogo do pracy, kto wprzód nie uczestniczył w rannej modlitwie. Kto przychodził tylko na „amen", ten nie bywał wciągnięty na listę dziennych robotników.

Odmawia z nimi modlitwę poranną i objaśnia im prawdy wiary. Najwięcej jednak opowiada im o Matce Boskiej. Jest to najulubieńszy jego temat. Bardzo kocha Matkę Boską i pragnie, aby Ją wszyscy kochali.

Po tej krótkiej nauce cała gromada z O. Beduschi'm na czele rusza do pracy. O. Beduschi zakasuje rękawy i razem z ceglarzami formuje



Egzamin przed chrztem.

cegły, poci się niemiłosiernie z kopaczami na polu i objaśnia pierwsze zasady budowy mostu swoim czarnym „inżynierom“. Jest wszędzie, aż wreszcie żołądek przypomina mu, że jeszcze nie jadł śniadania.

Zawadza więc z pośpiechem o refektarz, by przekąsić trochę rozmoczonego chleba i spieszy do nowego zajęcia.

Lekarz i aptekarz.

Jest teraz lekarzem i aptekarzem. W chacie, która służy za aptekę, zastaje już wielu chorych. Zajmuje się każdym chorym jak matka swym ukochanym dzieckiem. Czyści i opatruje rany, rozdaje lekarstwa. Jeszcze nie ukończył z chorymi, a już dzwonek wzywa go do szkoły.

Nauczyciel „a b c".

O. Beduschi zmienia się teraz w cierpliwego nauczyciela „a b c". W klasie jest wesoło. O. Beduschi podchodzi do tego lub owego malca, pomaga mu nakreślić trudniejszą literę. Potem jest lekcja katechizmu, która zawsze kończy się zbyt szybko, a potem lekcja śpiewu.

Tę lekcję prowadzi inny Ojciec. O. Beduschi przysłuchuje się tylko, gdyż, jak powiada, nie ma głosu; bardzo się jednak o to stara, aby dzieci szkolne śpiewały pięknie. Sam nauczył się trzech czy czterech piosenek w miejscowej gwarze, które w swych wędrówkach katechistycznych ku ogromnej radości Murzynów śpiewa tak głośno, że aż do utraty głosu. Murzyni są zachwyceni i śpiewają z nim razem, ale starają się śpiewać jeszcze głośniej. Można sobie wyobrazić, na ile kilometrów wokoło słychać taki chór.

Obiad.

Następuje obiad. O. Beduschi rozdaje swym dzieciom trochę posiłku: trochę durry, manioku lub patat, a w niedzielę i odrobinę soli do tego, sam zaś udaje się do kapliczki na południowy rachunek sumienia, potem na obiad, na którym go często nie ma.

— Gdzież to zniknął O. Beduschi? — pyta się jego towarzysz.

— Poszedł odwiedzić umierającego. Właśnie proszono o pomoc, wziął więc osła i pojechał — odpowiada chłopiec.

Ojciec Beduschi lubił w ten sposób uprzedzać swoich towarzyszy. Chciał im oszczędzić zmęczenia, ile to tylko możliwe.

Za powrotem czekają już na niego różni Mu-

rzyni. Jeden z nich po długiej przemowie wyjaśnia na koniec, że musi odebrać syna ze szkoły, bo nie ma kto paść krów. Ale O. Beduschi rozumie go doskonale: brak mu czego innego. Daje mu potrzebne pieniądze na zapłacenie podatku i chłopak zostaje w misji.

Katechiści.

Po południu nadchodzą katechiści z dziennym sprawozdaniem. Trzymają w ręce spis swych uczniów-katechumenów. Są uśmiechnięci: ten zapisał nowego ucznia na lekcje katechizmu, tamten ochrzcił dwa umierające niemowlęta. Serce O. Beduschiego wzbiera wielką radością. Tylko katechista Wawrzyniec stoi w milczeniu. zasępiony.

— A ty co przynosisz? — pyta go O. Beduschi.

— Jeden chłopiec poganin wpuścił krowy do mojej szkoły. Krowy zjadły katechizm i elementarze, które schowałem wysoko między słomą w dachu, aby nikt ich nie dosięgnął. A wczoraj ściągnęli bęben i urządzili mi kocią muzykę. Nie chcą mnie, nie pójdę już więcej do tej wsi.



Katechista wśród swych uczniów.

— Ilu dzisiaj przyszło do szkoły?

— Dziewiętnastu i dwie dziewczynki, które przyszły dzisiaj po raz pierwszy. Modlitwy już umieją, nauczyły się od tego małego Marka. Obiecałem im, że zapiszę je w przyszłą niedzielę i dam im medalik.

— Brawo, mój Wawrzyńcze, idź no do Ojca B., niech ci da nowy katechizm i elementarze.

Wawrzyniec pocieszony odchodzi.

Pod wieczór.

Słońce zniża się. O. Beduschi jest znowu wśród swoich katechumenów. Ogląda ich pracę i dla każdego ma jakieś ciepłe, dobre słowo. Jeśli ma czas, odmawia z nimi razem różaniec. Potem opowie im jaki piękny przykład, by rozpalić w nich coraz więcej pragnienie chrztu św.

Wśród najbliższych.

Towarzysze pracy widzą nareszcie O. Beduschi'ego siedzącego. Przy kolacji jest wśród nich. W ciszy wieczoru rozwija się serdeczna rozmowa o zdarzeniach dnia. Ojciec Beduschi jest teraz ich. Układają plan pracy na dzień jutrzejszy. O. Beduschi pomaga radą, doświadczeniem, zachęca swym przykładem do niesłabnącej walki o dobro. Zna wszystkie ich troski i radości.

Wreszcie jak dobra matka każe im udać się na spoczynek.

Przy naftowej lampce.

Wszyscy w misji śpią. Cisza zupełna. O. Beduschi przy nikłym płomyku lampki naftowej chwyta za pióro. Tyle listów czeka na odpo-

wiedź. Potem krótkie notatki z dnia, trochę teologii i książka z wiedzą praktyczną.

Jest coraz więcej zmęczony. Lecz przezwycięża zmęczenie i przyswaja sobie wiadomości, które jutro mu będą potrzebne. Czas leci szybko.

Nieraz towarzysze zastają go rano przy stole. Sen zaskoczył go przy pracy.

Udane polowanie

O. *Laagel* ze Zgrom. Ducha Św., Angola.

Pewnego razu powróciwszy z podróży misyjnej, wybrałem się na polowanie. Potrzebna mi była skóra antylopy, jako nieprzemakalne okrycie dla moich bagaży, które często w czasie podróży misyjnych stawały się ofiarą ulewnego deszczu.

Udało mi się zranić dwie. Puściłem się za nimi w pościg. Pierwsza zraniona antylopa biegła w tym kierunku, gdzie stała chata znanego mi chrześcijanina. Przed chatą rozmawiało żywo kilku ludzi. Zobaczywszy mnie z daleka, zaczęli krzyczeć i dawali znaki, abym się zbliżył. Od chaty dzieliła mnie szeroka łąka zalana obecnie wodą i strumień. Był wprawdzie most, zbudowany z nieociosanych pni drzewnych, lecz woda w tym miejscu roiła się od krokodyli.

— Co zrobić? Jak się tam dostać? — myślałem. Jeden z tych młodych ludzi, którzy stali przed chatą, przeszedł przez wodę i zbliżywszy się do mnie, chwycił mnie i wsadził na ramiona jak małe dziecko.

— Nie bój się, Ojcze, przeniosę cię bezpiecznie na drugi brzeg.

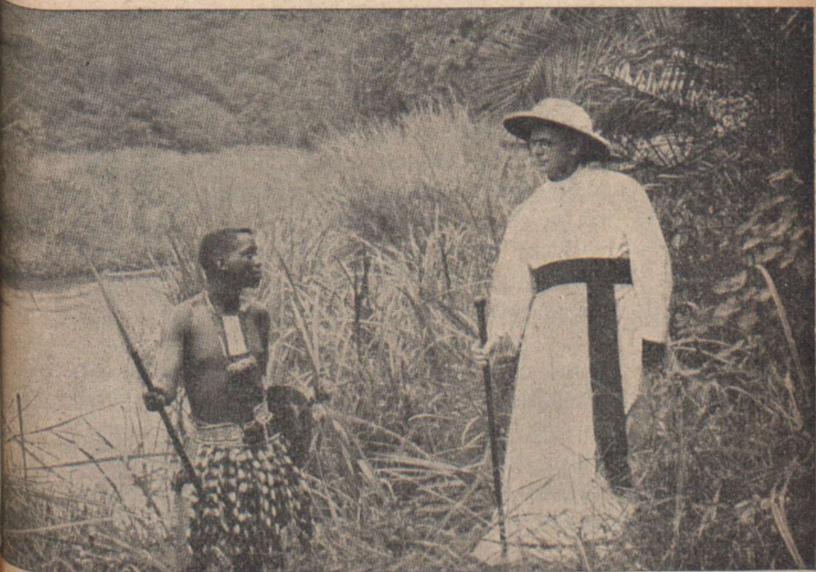
Uczynił to tak szybko, że nie miałem czasu odpowiedzieć nawet. Z początku wszystko w po-

rządku. Nagle w środku zalanej równiny pośliznęła mu się noga — i chlups do wody! ja oczywiście z nim!!

Dośpiewajcie sobie sami. Zmoczony do ostatniej nitki brodziłem we wodzie już na własnych nogach. Poczciwi chrześcijanie wskazywali mi miejsca, gdzie nie było tak źle, t. j. gdzie się tak często nie upadało.

Gdy przyszedłem do chaty, zastałem tam chorego, który w zeszłą niedzielę był u mnie po lekarstwa. Biedak był okropnie poraniony. Obie nogi miał prawie bezwładne. Co się stało?

Wracając ode mnie z lekarstwami do domu późną nocą, chciał sobie skrócić drogę i przejść przez ów most zalaną równinę. Zaledwie jednak opuścił most, znalazł się nagle naprzeciw ol-



brzymiego krokodyla, który swymi potężnymi zębami chwycił go za nogę.

— Boże, pomóż mi! — krzyknął z całych sił nieszczęśliwy człowiek i uczynił kilka razy znak krzyża św.

Dzięki Boskiej pomocy zdołał uchwycić obiema rękami pień drzewa i oprzeć się zamiarom krokodyla, który według swego zwyczaju usiłował go wciągnąć w głąb strumienia. Potem nadzwyczajnym wysiłkiem otworzył paszczę potwora i oswobodził swą nogę.

Zaczął znów wołać o pomoc. Wśród głuchej ciemności nie słychać było żadnego odgłosu. Za to bestia nie dająca się tak łatwo odstraszyć przyszła po raz drugi i chwyciła go za drugą nogę. Murzyn czuł śmierć blisko, blisko... Rozpaczliwym wysiłkiem uwolnił się po raz drugi z paszczy krokodyla.

Był zupełnie wyczerpany. Z poranionych nóg płynęła krew. Bóg tylko jeden wie, jakim cudem zdołał dowlec się do domu, oddalonego o 500 m drogi. W domu przyłożył na otwarte rany oliwę z palm, zmieszaną z solą, która zatamowała upływ krwi i uśmierzyła straszny ból.

Nie mając bandaży, zdarłem rękaw koszuli i zanurzywszy go poprzednio we wrzącej wodzie, owinąłem nim rany chorego. Na szczęście miałem przy sobie trochę lekarstw.

— Jutro — powiedziałem do chorego — przyślę ci inne niezbędne lekarstwa, które mam w apteczce. Mam nadzieję, że rany twoje szybko się zagoją.

Wracałem dłuższą drogą, by nie drażnić wilczego apetytu wodnych rabusiów. W czasie suszy oddalają się one niechętnie od wody, lecz

w czasie deszczów zapuszczają się dalej w głąb lądu.

Ten wypadek wzruszył mnie szczególnie, pokazując mi czułą opiekę Boskiej Opatrzności, która posłużyła się małą antylopą, aby mnie zaprowadzić do tego chorego.

Chrześcijanin ów rzeczywiście wyzdrowiał i wraz ze swą żoną i kilku starszymi dziećmi przybył później do misji i przyjął komunię św. w intencji dziękczynnej. Mnie zaś ofiarował dużego koguta i trochę mąki, podarek wielkiej wartości, gdyż panuje tu nędza z powodu szarańczy.

— Cóż się stało z tą małą, ranną antylopą? — zapytacie.

Widząc, że jej nie ścigam, wróciła się w drugą stronę i przeszła jeszcze około 12 km, by paść blisko szkoły. Rano zauważyła ją tam pewna chrześcijanka i doniosła mi o tym.

Tak więc polowanie udało się podwójnie: raz, że znalazłem chorego, i drugi raz, że zdobyłem tak potrzebną mi skórę na okrycie moich bagaży.

Bł. Kizito

(Ciąg dalszy.)

Przyjaciel czuwa.

Karol Lwanga czuwał... Pod żadnym pozorem nie pozwalał katechumenom wdawać się ze złymi paziami i brać udział w ich zabawach. Nie dopuszczał też nigdy do tego, ażeby tamte par-

szywe owieczki nocowały pod tym samym dachem z jego podwładnymi.

Ile razy Kizicie groziło niebezpieczeństwo, Karol, niby widzialny anioł stróż, ukrywał go lub wysyłał gdzieś poza obręb dworu albo w ostateczności wymyślał na poczekaniu jakąś chorobę i w ten sposób chronił go od złego.

Dzięki tak troskliwej opiece cnota naszego błogosławionego nie tylko że pozostała nieskażoną mimo groźnych niebezpieczeństw, lecz owszem, przeciwnie, stawała się coraz bardziej wyrobioną i dojrzałą. Na dowód, że tak było, przytoczymy świadectwa jego dawnych towarzyszy, złożone w czasie procesu beatyfikacyjnego: „Kizito, to prawdziwe dziecko. Bawiłem się z nim często i miałem sposobność przekonać się, że jego zachowanie było zawsze bardzo skromne.” „Był bardzo odważny i stały we wierze.“

Raczej umrzeć, niż zgrzeszyć.

Ta wytrwałość Kizity i innych paziów w dobrem wywoływała u króla częste wybuchy gniewu. Zarzucał europejskim misjonarzom, że oczarowali jego paziów, że ich pobudzają do nieposłuszeństwa i że go chcą zgładzić. I tak ten, co z początku głosił, że jest przyjacielem misjonarzy, stał się wkrótce ich zawziętym wrogiem. Skutkiem tej zmiany usposobienia stało się prawdopodobnym, że zacznie usuwać chrześcijan katolików ze swego otoczenia.

Kiedy rozmowa zeszła na temat grożącego prześladowania, Kizito tulił się do przyjaciela, Karola Lwangi, który pragnąc go zachęcić do wytrwałości do końca, odezwał się doń: „Pamiętaj, kiedy nadejdzie chwila, że trzeba będzie

wyznać śmiało wiarę, chwyć się mnie za rękę, to się nie zachwiejemy.“

Dnia 15 listopada 1885 r. król skazał na śmierć marszałka dworu, Józefa Mukasa, od tej też chwili paziowie byli przygotowani każdej chwili na wybuch krwawego prześladowania. W rzeczy samej wybuchło niespodziewanie pod koniec maja 1886 r.

Męstwo w czasie prześladowania

Nie zna co to strach.

Wieczorem dnia 25 maja, po powrocie z polowania na hipopotama, dowiedział się król, że jeden z młodszych paziów, Dionizy Sebuggwawo, wbrew jego zakazowi uczył prawd wiary synka jego pierwszego ministra. W przystępie gniewu w zwał Dionizego przed swoje oblicze i własnoręcznie przebił go dzidą, a następnie polecił katowi usunąć go i dobić. Potem odurzony widokiem krwi biegał po pałacu, bijąc jednych rękojeścią dzidy, innych strasząc groźbami. Nieprzytomny z gniewu krzyczał: „Wy, chrześcijanie, ja was zaraz dzisiaj wszystkich wymorduję!“ Wobec takich gróźb część paziów uciekła z pałacu. Mogło to być około g. 6 wieczorem.

Kizito był wtedy poza rezydencją królewską, poszedł mianowicie do przełożonego nad zbrojownią, Mateusza Kisule, i wskutek tego nie wiedział nic o smutnych wypadkach, jakie się tego wieczora rozegrały w pałacu. Dopiero uciekający paziowie powiedzieli mu o wszystkim. Wtedy Kizito zastąpił im drogę i rzecze:

— Jak to!? Wy uciekacie? A gdzież się schronicie? Czy nie wiecie, że nie dotrzymać przysięgi znaczy tyle, co ją złamać?

Na to jeden z uciekających odpowiedział:

— My biegniemy do Ojca Mapera (O. Lourdela).

— A dobrze! Ja wracam na dwór — odparł na to stanowczo Kizito.

W powrotnej drodze spotkał pewnego krewnego poganina, imieniem Kitaganda. Ten wiedział dobrze, że w chwili pogromu każdy podejrzany o sprzyjanie katolikom może zginąć z ręki kata, mimo to jednak, powodowany szlachetniejszym uczuciem, zatrzymał go i rzekł:

— Chodź prędko do mnie, bo król wszystkich morduje.

Kizito jednakże bez cienia lęku poszedł dalej, tam, gdzie go wołał obowiązek, tam, gdzie miała się rozegrać długo oczekiwana walka... Niech się dzieje, co chce!

Noc na posterunku.

Powróciwszy do siebie, znalazł Kizito co najodważniejszych paziów na posterunku; wprawdzie wszyscy byli przerażeni tym, co zaszło, ale trzymali się na ogół dzielnie. Kizito postanowił spędzić z innymi na czuwaniu tę noc, w czasie której miał się stać żołnierzem Chrystusowym.

Karol Lwanga nie miał już żadnych złudzeń; wiedział, że czeka ich śmierć. To też bez wahania postanowił ochrzcić tych towarzyszy, którzy dotąd byli jeszcze katechumenami. Pokrótce przypomniał im to wszystko, czego ich uczyli Ojcowie misjonarze, a przede wszystkim przedstawił im zasadnicze prawdy wiary, zachęcając ich, ażeby wytrwali w wierze, cokolwiek się stanie. Sam chrzest odbył się bez żadnych zewnętrznych okazałości, coś jak w katakumbach.



Smutek i przygnębienie pierzchły precz. Wszyscy czuli się szczęśliwymi, że dostąpili zaszczytu oddania się całkowicie Bogu, oczymą duszy widzieli bowiem nagrodę, jaka ich czeka za wierność, t. zn. szczęście nieskończone w niebiesiech.

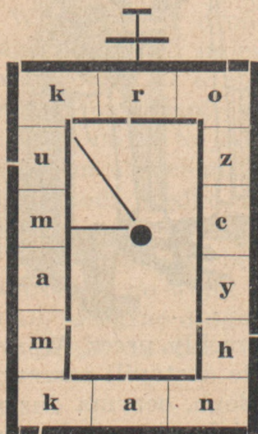
Niestety nie znamy imienia nadanego naszemu paziowi na chrzcie św., dlatego jego imię pogańskie „Kizito“ stało się imieniem błogosławionego.

Nad ranem wrócili paziowie, którzy zbiegli poprzedniego wieczora. Pozostali przywitali ich docinkami, a Kizito nie pozostał pod tym względem w tyle za innymi i pokpiwał z nich:

— Uciekliście przed lamparcią skórą nie zobaczywszy nawet samego lamparta...

Niemniej jednak, kierowani chrześcijańską miłością bliźniego, podali im ręce, chwaląc ich za powrót i zachęcając, ażeby bez strachu stawili się przed królem. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Na intencję prenumeratorów i dobroczyńców odprawiają Biskupi misyjni i Misjonarze afrykańscy około 500 mszy św. rocznie.



Zagadka

Kto odczyta, co na tym czarodziejskim zegarze jest napisane?

(Czyta się w kierunku wskazówek zegara.)

ROZWIĄZANIE z Nr. 9:

Gdyby św. Piotr Klawer każdego dnia ochrzcił jedną tylko duszę, potrzebowałby 833 lat.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki":

15 października w dzień św. Teresy ;

28 października w dzień ŚŚ. Szymona i Judy ap.

Za pozwoleniem Władzy duchownej — w Przemyślu 10 września 1938. L. 4465/38.

Redaktor odpowiedzialny Maria Kopińska, Kraków.
Nakładem i drukiem Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie.



Piotruś.

Najmilsze książeczki

Nakładem Sodalicji św. Piotra Klawera ukazały się dwie następujące książeczki:

PIOTRUŚ

Książeczka ta jest rozchwytywana przez chłopców. W sposób niezwykle zajmujący opisuje życie pewnego chłopca angielskiego, żywego jak skra, urwisa przy tym co się zowie. Piotruś umiał wszystko zrobić, nawet dziurę w pończosze zacerować i guziki poprzyszywać. Chciał być misjonarzem afrykańskim, a „biednemu misjonarzowi wszystko może się przydać."

Cena książeczki tylko 20 gr.

„Niezadowolone Dzieciątko Jezus"

Przemiła komedyjka, króciutka, w trzech odsłonach, napisana łatwo, może być odegrana nawet przez małe dzieci. Pierwsza scena rozgrywa się w niebie: Dzieciątko Jezus siedzi na tronie i czyta liściki, które mu aniołowie przynoszą ze wszystkich części świata. — Można ją odegrać zawsze z powodzeniem, ale najodpowiedniejsza będzie na Boże Narodzenie. Czas zatem już teraz ją zamówić.

Cena tylko 30 gr.

Obydwie książeczki można nabyć pod adresami Sodalicji św. Piotra Klawera *Przy większej ilości cena zniżona.*